

PŁOMYCZEK

TYGODNIK Z OBRAZKAMI DLA MŁODSZYCH DZIECI



NA NASZEM PODWÓRKU.

Dyż - dyż, gołąbku!...

— Dyż - dyż, gołąbku,
masz tu ziarenka,
groszek wyborny,
a tu rynienka
pełniutka wody.
Dyż - dyż, dyziulka!
Zleć - że tu do mnie,
jak srebrna kulka.
Zleć - że, gołąbku,
źle ci nie będzie.
Widzisz, co ziarenek
leży tu wszędzie.
Popatrz! O, widzisz,
ile tu groszku!
No, sfruwaj prędko,
mój ty pieścioszku!

J. Kamińska - Wyszyńska.



Myszki kota zjadły.

Gabrynia dostała na imieniny książkę. Śliczną książkę z obrazkami.

Obrazki były kolorowe, a przy obrazkach — wierszyki. Takiemi dużemi literkami wydrukowane!

Widziałem tę książkę. Doprawdy, była śliczna.

Pierwszego dnia Gabrynia nie wypuszczała jej z rąk. Nikomu dotykać nie pozwalała. Nawet spać z nią poszła.

Drugiego dnia mogli książkę już i inni oglądać.

Trzeciego dnia książka, porzucona w izbie na ławie, nudziła się, a Gabrynia biegała po podwórku.

Czwartego dnia książką zajęła się lalczka gałgankowa. Ta, której kolebusia stoi w kąciu obok wielkiej, malowanej skrzyni.

Piątego dnia zaprosił książkę do zabawy Jędrus. Oglądał ją, oglądał i troszkę, niechcący, zabrudził. A kartki to już same się rozsypały.

Odebrała Gabrynia książkę Jędrusiowi i schowała ją do szuflady.

Szóstego dnia wszyscy o książce zapomnieli.

Minęło wiele, wiele dni.

Gabryni były potrzebne gałganki. Zajrzała do szuflady. Zobaczyła książkę.

— Ach, książka, moja książka kochana! Ładnie kochana! Zakurzona, poplamiona i dookoluśka obgryziona przez myszki. Przez niedobre myszki!

Poszła Gabrynia po kota.

Szukała go w sionce, na podwórku, w stodółce. Aż znalazła. Wygrzewał się pod kominkiem.

Zabrała piecucha i chciała go zamknąć w szufladzie, żeby myszki wyłowić.

Ale kotek Gabrynię podrapał i uciekł po drabinie na dach.

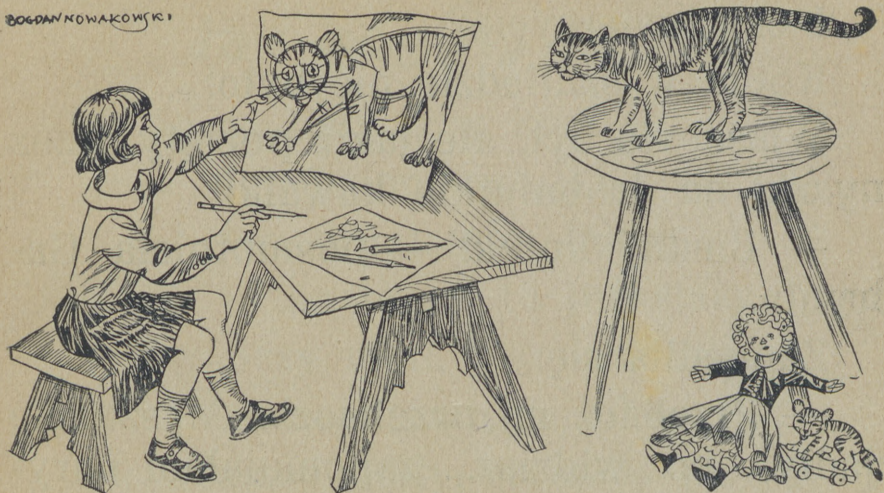
— Jak nie, to nie, obejdzcie się i bez ciebie! — rzekła nadąsana Gabrynia.

Znudziło się kotkowi na dachu. Wrócił do izby.

— Nie chcesz siedzieć w szufladzie, to posiedź choć na stoliku, narysuję cię.

Poprosiła starszego brata o arkusik białego papieru. I narysowała kota.

BOGDAN KOWALOWSKI



Narysowała kota groźnego. Z takimi dużymi uszami! Z takimi długimi wąsiskami!

Tylko dla ogonka miejsca nie starczyło.

— Będiesz, kotku, pilnował mojej książki? Będiesz?...

— Będę!

— Dobry z ciebie kotek!

O tak, spokojny to był koteż. Nie drapał, nie dopominał się o mleczko.

Leżał w szufladzie i pilnował książki.

Gabrynia miała zamiar codziennie zaglądać do kotka, tak — ale o tem zapominała.

Aż raz przypomniała sobie o kotku i zajrzała.

I czy uwierzycie?

Kotka w szufladzie nie było!

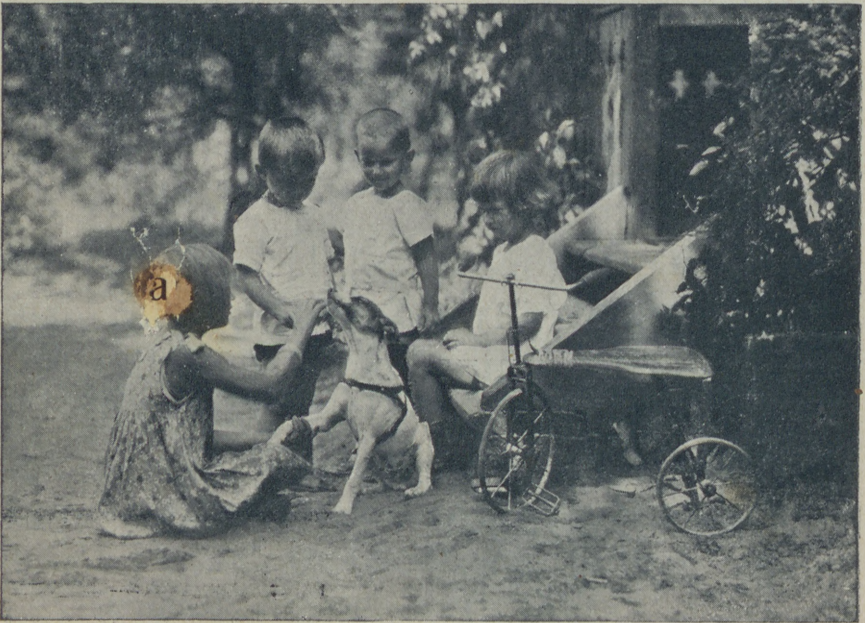
Właściwie był, ale jakież pocięty przez
myszki na drobniutkie kawałki!

— Biedny kotek! — posmutniała Ga-
brynia.

Zamyśliła się:

— Przebacz mi, przebacz!... Myszki cię
zjadły, bo widzisz... zapomniałam nary-
sować ci zębów i pazurków!

L. Wiszniewski.



— NIE RUSZ... NIE RUSZ... HAM!!

Jak koguty pieją.

Były, były trzy kogutki:
 ten jeden malutki,
 ten drugi młodziutki,
 a ten trzeci to już stary,
 oczy miał, jak dwa talary.
 Straszne z nich żarłoki były:
 wciążby jadły, wciążby piły.

Ten malutki:
 „Kie-li-cheń-kiem!”

Ten młodziutki:
 „Kwa-te-recz-ką!”

A ten trzeci
 kogut stary,
 co miał oczy
 jak talary:
 „Trzy-garn-ców-
 ką!”



J. Porazińska.

Na naszym podwórku.

Zaczął się od tego, że Tomek niewiadomo z jakiego powodu upodobał sobie gąsienicę. Gąsienicę było sześcioro, chodziły po trawniku w sadzie za dużą, białą gąsienicą, która syczała na wszystko i na wszystkich.

Gąsieniczki były jak jedno: żółte i puchate, ale Tomek dowodził, że żadne nie jest do drugiego podobne i każde miało swoje imię. Tomek co wieczór zaganiał całą rodzinę do kojca i liczył na palcach:

— Wicus, Józio, Antoś, Frania, Kasia, Mania! Wszystkie są!

Przesadzał niezgrabny, fikające nogami, przez wysoki próg, przy ciągłym syku starej gęsi i zamykał drzwi na haczyk.

Aż tu pewnego wieczora Tomek liczy:

— Wicus, Józio, Antoś, Frania, Mania — Kasi brak!..

Przeszukano wszystkie krzaki, przetrząśnięto maliny i porzeczki... Kasia zginęła bez śladu.

— Jastrząb ją pewno porwał—powiedziała matka. — Ojciec widział jastrzębia nad kuźnią.

Pewne było, że biedna Kasia zginęła w pazurach rozbójnika.

Tomek się zawziął:

— Już więcej nic nie porwie, będę pilnował.

Narządził sobie łuk i mocne, lotne strzały. Na drugi dzień widział jastrzębia: wisiał nieruchomy w powietrzu na rozpiętych skrzydłach nad polem łubinu.

Tomek skoczył po łuk. Kiedy wrócił, jastrzębia już nie było.

W samo południe, kiedy wszyscy jedli obiad, gęś wrzasnęła przeraźliwie i kogut pod oknem zaskrzeczał groźnym, ostrzegawczym głosem. Groza zawisła w powietrzu.

— Jastrząb!! — krzyknęła Basia.

Tomek porwał się pierwszy, wypadli wszyscy przed dom.

Tomek przeliczył gąsienicę — brakowało Mani.

— Teraz, kiedy się już znarowił, nie upilnujcie — powiedział ojciec.

Zacząła się zacięta, podstępna walka. Niejedną godzinę Tomek przesiedział, zaczypany w malinach, z łukiem w pogotowiu.

Jastrząb drwił sobie z niego, spadał jak piorun gdzieś z pod nieba, porywał z pośród odrętwiałej z przerażenia gromady największe kurczę albo gęsiaka i znikał cicho ze swoją zdobyczą.

Nie było na to ratunku.

Z gąsek ocaleli tylko jakimś cudem Wicus i Frania.

Był upalny dzień. Jastrząb nie zjawiał się już od długiego czasu. Tomek patrzy, tylko Frania chodzi za gęsią. Rzucił się szukać Wicusia, bo był to jego ulubieniec, obleciał cały ogródek — nigdzie ani śladu! Pędzi powiedzieć o tem Basi, po drodze potracił wielki liść łopuchu, pod liściem mignęło mu coś jasnego. Patrzy: na ziemi leży nieruchomo Wicus, nóżki wyciągnięte, oczy zamknięte, ani tchnie...

— Coś go zagryzło — myśli rozżalony Tomek i nachyla się, żeby go podnieść.

A Wicus jak nie wrzaśnie w niebogłoty, jak się nie szarpnie i nie zacznie wrywać na kłapciatych nóżkach!...

Tomek aż usiadł z przestachu na trawie. Cały dzień było opowiadania, jaki to Wicus mądry, jaki sobie parasol od słońca znalazł.

— Nie dziw, że się takie uchowało przed jastrzębiem — śmiała się matka.

I rzeczywiście Wicus się „uchował” — nad podziw.

Już na jesieni prawie że starą gęś przerósł, chodził godny i rozsyczany jak wąż. Uciekali przed nim wszyscy, nawet zawadjaka kogut — Basi ulubieniec, nawet napuszony indor bał się jego podszczypywania. Gdy mu mignął czerwony dziób Wucusia, zwiął swój wachlarz, uciekał boczkim, drobnym truchcikiem, a korale mu bladeły ze strachu.

Było to już późną jesienią. Zaszedł do zagrody kowalów gruby jegomość z batem w ręku i czerwonym szalem na szyi.

— Niema tam pani kowalowa tłustych gęsi do sprzedania przed świętym Marcinem?...

Tomek i Basia unieśli głowy z nad zeszytów.

— Jednego tobym sprzedała, młody, ale tłusty.

Tomek i Basia zerwali się jak sprężyną poderwani.

— Mama nie sprzeda Wucusia! — krzyknął Tomek zapierzony.

— A cóż z nim zrobię przez zimę, mało mam do obrządzenia?

— Ja go będę karmił!

— Wielka mi wyreka, obrządzaj cały drób, to mi chociaż pomożesz.

— Będę obrządzał!

— I ja też! — zapiszczała za nim Basia.

I na tem stańto. Jegomość z batem w rękę poszedł sobie, a Wicusz został i rządził się po dawnemu na podwórku „jak szara gęś” (choć był cały biały).

Tomek, jak tylko wrócił ze szkoły, siekał w kubie gorące kartofle zakrzywionym siekaczem, a Basia brała miarkę pośladu do fartucha i wychodzili na podwórko. Pod drzwiami czatowała już na nich cała skrzydlata zgraja. Opadało to ich ze wszystkich stron, tak że Basia na skłębione grzbiety musiała sypać poślad, a Tomek nie dałby rady, kartofli do długiego korytka nałożyć, gdyby mu Wicusz, zawsze pierwszy przy korytku, porządku nie pomógł utrzymać. Szczyp! na prawo, szczyp! na lewo i zaraz przy korytku luźniej.

Matka patrzyła na to przez okno z uśmiechem i myślała sobie:

— Ciekawam, jak długo tak będzie?

M. Kownacka.

Zabawki z szyszek.

Zosia wróciła z mamą z lasu. Przyniosła w koszyku żołądźcie i szyszki. Wysypała je na stół.

— Co ty z tem zrobisz, Zosiu? — pyta mamusia.

Zosia uśmiecha się tajemniczo.

— Będę fabrykowała zabawki!

I Zosia prędko zabiera się do roboty.

— Najpierw zrobię ptaszka, mamusiu.

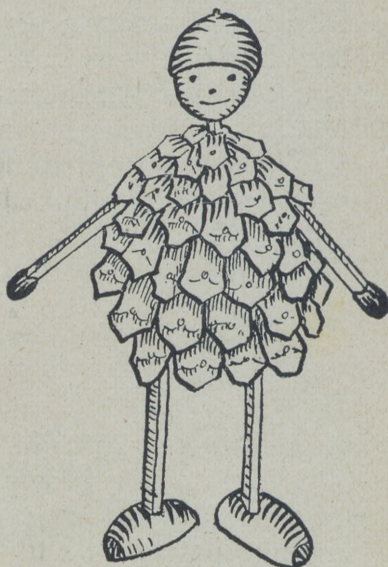
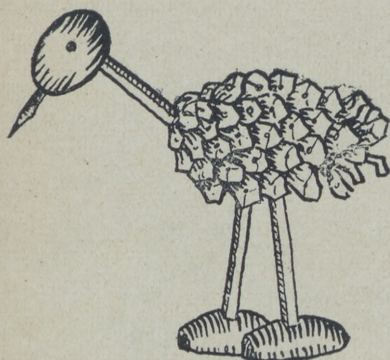
Wzięła Zosia dużą szyszkę, wywierciła w niej grajcarciem trzy dziurki: jedną na szyję, dwie na nogi. Potem wzięła Zosia trzy zapałki i zaostrzyła je z obu stron.

Na jedną wbiła głowę z żołądźcia. W tę głowę wsadziła kawałek zaostrej zapałki — to dziób; po bokach zrobiła dziurki na oczy.

Następnie jeden żołądz rozcięła na pół, wbiła w te połówki dwie zapalki przeznaczone na nóżki ptaszka i umocowała je w dziurkach wywierconych od spodu szyszki.

— Patrz, mamusiu, ptaszek gotów! Czy ładny? — pyta Zosia.

— Śliczny, nie wiedziałam, że z mojej córeczki taki majster!



— Teraz, mamusiu, zrobię pana Szyszkowskiego.

Wzięła Zosia żołądz, który jeszcze nie wypadł z miseczki, nakłuła szparki na oczy, nos i usta, oraz wywierciła dziurkę od spodu. Potem wybrała dużą szyszkę, u góry zrobiła dziurkę, w którą wsunęła kawałek z obu stron zaostrej zapalki. Zapalka jednym końcem tkwiła w szyszce, na drugi jej koniec Zosia wbiła przygotowaną żołądziową główkę. Dwie inne zapalki wbiła w dwie połówki żołądzia (to stopy lalczki) i wsunęła je w szyszkę u dołu. Z dwu zapalek zrobiła rączki.

Postawiła lalczkę przed matką.

— Pan Szyszkowski kłania się mamusi!

Zosia bardzo jest dumna z tych swoich zabawek.

Popróбуйте i Wy zrobić podobne. A może wymyślicie jeszcze inne?

W.



4)

Reksio i Pucek.

Napisał Jan Grabowski.

Psy, zacierzewione gonitwą, puściły się za kaczkami. Ani się obejrzały, gdy już były za kratą kurnika. Kurnik! Biada psu, a szczególnie małemu, który się znalazł w kurzem państwie.



Rozumny, stary pies nie zagląda tam nigdy. Bo i poco? Czy to pies jada jęczmień, albo surową osypkę? Tylko niedorośle szczenięta, które wszędzie wścibiają nos, z nudów przełaziły za ogrodzenie.

Reks był w kurniku parę razy. Nie znalazłszy nic, o co wartoby było ząb zaczepić, wypijał kurom wodę. Jakby nie było wody dość i gdzieindziej! Ale taka to już szczenięca natura. Zawsze lepsze cudze, zakazane. Reks dostał uczciwą nauczkę od starej Łysuchy, która nie pozwalała sobie w kaszę dmuchać.

Obydwa więc psy wpadły do kurnika. Kaczuszki pochowały się po kątach. Reks zobaczył Łysuchę, do której od dawna miał urazę. Powiada do Pucka:

— Pucek, widzisz tego drapaka obskubanego?

— Ano, widzę.

— Ładna, co?

— Pokraka.

— Wiesz, co ona mówi o tobie?

— Ciekawym.

— Że jej się boisz.

— Niech ona ze mną nie zaczyna — powiada Pucek i odyma się.

— Na całe podwórko ci wymyśla. Spytaj się Ciapy, jeśli mnie nie wierzysz!



— Ja jej pokażę! — wrzeszczy Pucek i sadzi do Łysuchy. Kura w nogi.

— Co to-to? Co to-to? — woła. — Kogucie, kogucie!

Biały kogut, Kicek, chodził sobie jak hrabia po kurniku. Grzebnie nogą raz, grzebnie drugi. Tu ziarenka, tam robaczek. Nie lubi hałasów, krzyków ordynarnych. Obrócił jedno oko w stronę, skąd go wołanie Łysuchy dochodzi i pyta:

— Kto tam znów terkocze?! Ha, ha, ha! A to co? A to co?

Zobaczył psy. Zrozumiał, co zaszło.

— Znów ten smarkacz! Ja mu dam! Ja mu dam! — zakrzyczał pełen złości, aż grzebień mu stanął na łebku. — Czarnucha! — zawołał na wielką czarną kurę, która grzebała w piasku. — Czarnucha!

Kicek był stary mądrała, lubił zasadzki, podejścia, sidła. Ukrył się z Czarnuchą za przymurkiem. Czekał.

Pierwszy przebiegł Reksik, który wysunął się naprzód.

Pyta się Czarnucha:

— Skoczymy na niego?

— Ten już nas zna. Czekaj.

Jak tylko Pucek mignął Kickowi przed oczyma, kogut wrzasnął z całego gardła:

— Huzia na niego! Popamięta nas!

Kicek skoczył z góry i spadł na sam łeb Pucka. Odrazu przygniótł go do ziemi. Czarnucha skoczyła psu na plecy.

— Kuj, kuj, kuj, kuj! — krzyczał Kicek. — Biało, na pomoc! Bierz się do boków!

Biedny Pucek rozciągnął się na ziemi. Jak grad sypały się na niego ciosy dziobów. Aż mu włosy na karku stanęły dęba z przerażenia. A jedno, jedyne oko, które mógł otworzyć, prawie wylazło mu ze łba ze strachu!

— O jej, jej, jej! — skamlał boleśnie. — Już nigdy nie będę!

A Reks uwijał się dokoła przyjaciela. Chciał go ratować. Skubnął nawet Kicka za ogon. Czarnuszce wyrwał kilka piór.



Ale co pocznie męstwo wobec przewagi nieprzyjaciół? Dostał sam dobrze po łbie, z uszu już mu się krew sączyła.

Cofnął się więc o kilka kroków od pola walki i co miał się wymyślał kurom:

— Cham Kicek, Kicek cham! Czarnucha — dławimucha!
Białka — pogubiła jajka!

Kury ani dbały na te wyzwiska. Kuły i kuły. Aż Kicek, który nie chciał się zneść, zawołał:

— Ma dość! Uciekaj, basatyku!

Pucek skamląc zwiął za kratę.

— Wziąłeś? — powiada Reksik.

— Byłbym ich nabił, tylko mi się noga zwinęła — odpowiada mu Pucek i utyka na nogę, która go wcale nie bolała więcej, niż kark i boki.

— Popamiętacie mnie! — szczeknął do kur i zamiótł za sobą nogami. — Chamy! — wrzasnął raz jeszcze w ich stronę i poszedł.

Dalszy ciąg nastąpi.

ŻYWY „PŁOMYCZEK”.

Dnia 29 października „Płomyczek” mówił przez radjo do wszystkich dzieci.

Tym dzieciom, które jeszcze nie mają u siebie radja i „Płomyczka” nie słyszały, opowiemy, jaki był program.

A więc najpierw „Płomyczek” przywitał się z dziećmi.

Potem były historyjki o Marysi i Jacusiu.

Było o tem, jak Marysia rano wstaje, myje się, a potem karmi swe kurki i kaczki. A jak te kurki gdakały, kaczki kwały, a kogucik piał! Zupelnie, jak na prawdziwej wsi.

Później było o tem, jak Jacus zwiedzał w Warszawie ogród zoologiczny. Widział tam w klatkach różne dzikie zwierzęta: lwa, tygrysa, niedźwiedzia, wilki, małpki.

Następnie, Jacus z mamusią wsiedli do pociągu i przyjechali na wieś, do Marysi. Tutaj, gdy dzieci poszły spać, przyśniło im się, że zabawki ożyły: miś mrucał i śpiewał, ołowiani żołnierze maszerowali i też śpiewali, a potem odbyło się wesele lalki Kasi z żołnierzykiem, Jasiem. Na weselu było wesoło: grano, śpiewano i tańczono.

Taki był żywy „Płomyczek”. Kto go słyszał przez radjo, może nam napisać, jak mu się podobał.

Kto pierwszy odgadnie?

ZAGADKI.

Chodzą w pojazdach, w płu-
gu i bronie,
Ciągną ciężary. A co to?

Dają nam mleko, płyn bardzo
zdrowy.

Cóż to innego, jeśli nie

Pasie się w stadzie, biała
wełneczka,
daje też mleko. Wiem,
to

Są z niej kiełbasy, a także
szynka.

Lubi żołędzie. Co to jest?.....

Przysłowie mówi: „Przyszła
do woza...”.

Wiecie zapewne, że to jest.....

Bywa łagodny, bywa i zły.
Mieszkają w budzie. No, co
to?....

Czyste stworzonka, lubią
pieszczoty.

Łatwo odgadnąć, że to są

ROZWIĄZANIA z Nr. 9.

Zagadki 1. MECH — MIECH. 2. MUCHA. 3. KOSA.

WARUNKI PRENUMERATY:

„Płomyczek”	miesięcznie 1 zł. —	— za cały rok szkolny	9 zł.
„Płomyk”	miesięcznie 1 zł. 50 gr. —	„ „ „ „ „	14 zł.
„Płomyczek” z „Płomykiem”	miesięcznie 2 zł. —	„ „ „ „ „	18 zł.

Ceny obliczone z kosztami przesyłki.

Numer pojedynczy: „Płomyka” — 40 gr., „Płomyczka” — 25 gr.,
„Płomyka” z „Płomyczkiem” — 50 gr.

Adres redakcji i administracji: Warszawa, ul. Świętokrzyska № 18.

№ telefonu 322-18. Konto czekowe P. K. O № 6880.

Redaktorka przyjmuje od g. 1 do 3, prócz wtorków i sobót.

Administracja otwarta codziennie od godz. 9 rano do 7 wiecz. Prenumeratę
przyjmuje oprócz administracji „Nasza Księgarnia” — ul. Widok 22 i Związek
Polskiego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych — ul. Marszałkowska № 123.

Wydawca: W imieniu Związku Polskiego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych —
JÓZEF WŁODARSKI. Redaktorka — JANINA PORAZIŃSKA.

Zakłady Graficzne „NASZA DRUKARNIA”, Warszawa, Sienna 15.